

Roman Łyczywek

W więzieniu Urzędu Bezpieczeństwa : (fragment pamiętnika)

Palestra 38/12(444), 117-120

1994

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA

Roman Łyczywek

W więzieniu Urzędu Bezpieczeństwa (Fragment pamiętnika)

Od dawna wiedziałem, że jestem źle notowany w decydujących kołach politycznych i – co było równoznaczne – w Urzędzie Bezpieczeństwa. W latach czterdziestych było to z reguły wstępem do aresztowania. Podobno sfery „miarodajne” rozważały możliwość zastosowania w stosunku do mnie starych przepisów o zakazie mieszkania w pasie granicznym. Była to mitologia prawnicza i nic z tego nie wyszło.

W listopadzie 1949 r. wracałem z mego wykładu w Polskiej YMCA. Gdy otworzyłem drzwi mego domu (obecnie ul. Monte Cassino), jakiś nie znany mężczyzna zagroził mi ewentualne wyjście, a drugi stanął na schodach. Zorientowałem się, że żona znajduje się pod „opieką” dwóch panów, a trzech dalszych buszuje po mieszkaniu, przeglądając moją dużą bibliotekę. Jako „dowód rzeczowy” zabrali m.in. wyrwane z książki z XVIII w. facsimile pisma Voltaire’a.

Szefem ekipy UB był, jak to z pewnością stwierdzono w protokole, Michał Rubin, a nakaz aresztowania podpisał szef prokuratury wojskowej, płk Golczewski, z którym już uprzednio miałem szereg napiętych sytuacji.

Usłyszałem kilka sakramentalnych słów o konieczności „sprawdzenia kilku spraw” i zapakowano mnie w asyście do samochodu. Jeszcze przed wyjazdem mój czteroletni syn (obecnie dziekan Rady Adwokackiej) domagał się od „gości” opowiadania bajek.

Po przyjeździe do UB sprawdzono personalia, zabrano pasek i sznurowadła i skierowano mnie do celi, w której miałem zostać przez kilka miesięcy. Do „albumu przestępców” sfotografowano i pobrano odciski linii papilarnych.

Zupełnie nie wiedziałem, o co chodzi, chociaż miałem deprymującą świadomość, że w razie potrzeby mogą znaleźć u mnie karabin maszynowy, chociaż nigdy go nie posiadałem.

Wezwano mnie na przesłuchanie i sytuacja nieco się wyjaśniła. Na początku pokazano mi tytuł gazety z tego dnia. Tytuł brzmiał: *Robineau aresztowany*. Powiedziałem, zgodnie z prawdą, że takiego człowieka nie znam i nie słyszałem o nim. Pokazano mi z tejże gazety dwa dalsze nazwiska francuskie, których również nie znałem. Odesłano mnie do celi. Stopniowo dowiedziałem się, że w „siatce szpiegowskiej” zostali obok

aresztowani m.in. kpt. Kazimierz Bartoszyński – zastępca Delegata Rządu ds. Wybrzeża, którym był min. Eugeniusz Kwiatkowski, dr Marek Niedbał i dr Zytkiewicz.

Cela, w której mnie ulokowano, opowiadała klasycznym, nie najlepszym wzorom. Miała 3 m kw. powierzchni, betonową podłogę, małe okienko przy suficie, jeden siennik napełniony sieczką, w ciągu dnia postawiony pionowo przy bocznej ścianie celi. W stalowych drzwiach tkwił „judasz”. Mieszkało nas tam trzech, czterech, a przez jedną noc pięciu. Na noc kładło się siennik na podłogę betonową i czterech więźniów mogło górną część ciała umieścić na tym sienniku. Piąty musiał noc spędzać siedząc na wmurowanym taborecie i podpierając się skurczonymi nogami o ścianę celi. Do wyposażenia celi należał jeszcze wmurowany w ścianę mały stolik i „kibel”.

Oszukując strażników, ulepiliśmy z chleba figury szachowe i zasłaniając judasza grywaliśmy czasami w szachy.

Mieszkańcy celi zmieniali się, do nowych przez pewien czas stosunek był nieufny. Jednym z więźniów był p. Durczewski z Rawicza, dawny przemysłowiec i łowczy. Drugi więzień, Piotr Wenczak, był kłusownikiem i ubijał zwierzynę – przez rok tyle, ile łowczy Durczewski przez całe życie.

Na kilka dni pojawił się w celi jakiś taksówkarz, którego uważałem za „kapusia”. Wkrótce oświadczył, że wychodzi na wolność. Z tą sytuacją wiąże się dla mnie jedyne w swoim rodzaju przeżycie, które zachwiało moimi poglądami na telepatię.

Wolno było do UB dostarczać więźniom co tydzień dwie paczki papiero-

sów. Mogli je wypalić, jeżeli oddziaływy dał im zapaliki. Ja nigdy w życiu nie paliłem papierosów, mimo to poprosiłem taksówkarza, żeby wstąpił do mnie do domu i zażądał dwóch paczek papierosów, po jednej z różnego określonego gatunku, zakładając, że jedna z nich będzie dla mnie informacją, czy żona nie została aresztowana, druga zaś, że nasz drugi, roczny syn jest zdrowy. W najbliższy piątek dostałem obie żądane paczki. Sprawę uważałem za całkowicie wyjaśnioną. Od tej chwili żadnych paczek papierosów już nie dostałem. Po wyjściu z aresztu wspomniałem o tej sprawie okolicznościowo. Ku memu zdumieniu okazało się, że żaden taksówkarz nie był w domu. Żona, pytana o to, dlaczego właśnie te dwie paczki papierosów i tylko ten jeden raz mi dostarczyła – bezradnie tłumaczyła, że akurat wtedy i tylko wtedy przyszło jej to na myśl.

Nadeszła długa fala przesłuchań. Jedno z nich trwało siedem dni i nocy bez przerwy, to znaczy zmieniali się jedynie śledczy. Potem dali mi przespać jedną noc i znowu sześć dni i sześć nocy.

W późniejszym okresie przesłuchania były już rzadkie. To było bardzo męczące, ale dawało mi możliwość dokonywania obserwacji z zakresu psychologii zeznań.

Właściwie zrobiłem się bezczelny. Zażądałem regulaminu celi, a gdy mi go nie dano, poprosiłem o *Zagadnienia leninizmu* Stalina, żeby mieć jakieś słowo drukowane.

O odwiedzinach, spacerach, książkach oczywiście mowy nie było, chociaż muszę przyznać, że nikt mnie nie uderzył.

Pytania wpięrow dotyczyły sprawy Robineau, ale wkrótce zaczynał przy nich ziewać sam śledczy, potem tematyką

stała się „Ojczyzna” i Szare Szeregi. Zaprzeczałem przynależności do Szarych Szeregów. W sprawie „Ojczyzna” podawałem na żądanie nazwiska osób już zmarłych, ale znużony podałem nazwisko serdecznego przyjaciela, który żył, chociaż wiedziałem, że od dwóch lat za przynależność do „Ojczyzny” jest aresztowany. Gdy chciałem się z tego wycofać, śledczy westchnął i powiedział: „No, to ja Wam mogę powiedzieć, że należał”.

Co do Szarych Szeregów byłem już zdekonspirowany, więc nie miałem czego ukrywać. Cierpliwie dyktowałem kilkakrotnie z pamięci broszurę „Orszy” o Szarych Szeregach. Broszurę tę można było kupić w kioskach Ruchu za 50 groszy. Śledczy sumiennie moje informacje przepisywali. Odnośnie do mojej osoby wiedzieli, że byłem komendantem Chorągwi Wielkopolskiej oraz członkiem Pasieki.

Same „tezy” śledztwa były wręcz skandaliczne. Za „współpracę z Niemcami” siedziało wówczas szereg wybitnych patriotów, m.in. „Oskar” – przez cały okres wojny szef kontrwywiadu Komendy Głównej A.K.

Byłem nieco zaskoczony faktem, że wspomniawszy raz o mej przynależności do Stronnictwa Pracy (byłem tam członkiem Zarządu Głównego i Rady Naczelnej oraz przewodniczącym Sądu Koleżeńskiego), już do tego tematu nie wracano, widocznie mieli na ten temat dosyć innych informacji.

Cały rytuał przesłuchań mógł nieco śmieszyć. Przesłuchiwanie odbywało się w ten sposób, że przesłuchiwany siedział w pewnej odległości przy drzwiach pokoju, na korytarzu musiał się zatrzymać twarzą do ściany, z rękoma opar-

tymi o ścianę. Pierwsze przesłuchania zaczynały się od sakramentalnego: „Opowiedzcie swój życiorys”. Ja wprawdzie byłem w dyktowaniu życiorysu, a oni w jego spisywaniu.

Ciężką próbą wytrzymałości były przesłuchania trwające po kilka dni i nocy bez przerwy, po których przez „judasza” sprawdzali, żebym nie spał w celi. To było trudne do wytrzymania. Potem był już względny spokój.

Stale powtarzały się pytania: „Jakie materiały szpiegowskie dostarczyliście konsulowi francuskiemu?” Po może 200 takich pytaniach, odpowiedziałem: „Plany portu i lotniska, a dworca nie zdążyłem”. Pytania się skończyły.

Po przeszło trzech miesiącach pobytu w UB potoczyła się ciekawa rozmowa: „Chciałbym pana zobaczyć dziś po południu”. Uśmiechnąłem się: „Do czyjej jestem dyspozycji (!)”. „Będzie panu (już pan!) odczytany akt oskarżenia”. „Czy mogę wiedzieć, o co będę oskarżony?” „Jeszcze nie”.

Istotnie, sprowadzono mnie do śledczego. Po chwili milczenia zapytał mnie: „Czy chciałby pan pójść do domu?” Wtedy wystraszyłem się, rozważając, jakie postawi mi warunki. Warunków nie było. Zapytano mnie o skargi. Powiedziałem, że kilku śledczych było niegrzecznych, ale „to zdaje się jest tu w zwyczaju”. Milczenie.

Ostatecznie poszedłem sam do domu, zaskakując całkowicie rodzinę.

Mój pobyt w więzieniu odbywał się na pewno w warunkach z pewnych względów korzystniejszych niż normalnie (przede wszystkim nie bito mnie), jednak jeżeli uwzględni się brak jakiegokolwiek możliwości kontaktu z rodziną, brak jakichkolwiek kontaktów (jedyne

wyjście bywało do pokoju śledczego na przesłuchanie), zupełnie wykluczoną możliwość otrzymania jakiegoś słowa drukowanego (książki lub gazety), tłok w celi (4–5 więźniów w celi o 3 m kw.), spanie na betonie w czwórce na jednym sienniku z sieczką i co mniej ważne – fatalne żywienie, to w sumie...

Przy pożegnaniu śledczy poinformował mnie, że na wypadek, gdyby spotykały mnie z tytułu mego aresztowania jakiegokolwiek przykrości, mogę swobodnie korzystać z ich pomocy. Z pomocy nie korzystałem, ale pozornie nie było przez dłuższy czas żadnych bezpośrednich przykrości ze strony UB lub też były zręcznie maskowane.

Ze sprawą Robineau, w związku z którą formalnie zostałem aresztowany, spotkałem się po wielu latach jeszcze dwukrotnie, w dziwnych okolicznościach.

Już po przełomie politycznym zwróciłem się do Prokuratury Wojskowej o udostępnienie mi tych akt. Prokuratura uprzejmie ściągnęła akta z Warszawy do Szczecina. Składało się na nie 7 tomów. Dokładnie przejrzawszy akta, nie

znalazłem swojego nazwiska w jakimkolwiek orzeczeniu organów śledczych, nie znalazłem też żadnego ze swoich przesłuchań (a tyle sam pisałem swoich zyciorysów!). Nabrałem ogólnego poglądu na sprawę, której przedtem zupełnie nie znałem. Istotnie, w działaniu Robineau i wicekonsula Bardeta można się było dopatrzeć pewnych elementów szpiegostwa. Byłoby to szpiegostwo banalne, jakiego można dopatrzeć się w działalności wszelkich urzędów konsularnych. Ogromny rozgłos, nadany sprawie, nie był oczywiście usprawiedliwiony. Zaimponowała mi natomiast dyskrecja organów śledczych, które – naruszając wszelkie zasady procedury – pominęły w aktach wszystko, co dotyczyło mnie.

Drugi raz zostałem zaproszony do tejże Prokuratury z prośbą, czy mógłbym pomóc w odtworzeniu akt, które „zagięły”.

Odmówiłem, bo nie byłbym w stanie uczynić czegokolwiek, ale do dziś nie rozumiem krętych ścieżek UB-owskiego postępowania karnego.